

Początki Okupacji

Przed wybuchem wojny w 1939 r., na rynku Szczebrzeskim przed ratuszem kopano rowy, które miały dawać schronienie w przypadku bombardowań. Biegły one zygzakami. Kopali znajomi i koledzy ojca, nauczyciele, kupcy, rzemieślnicy, a pewnie i wolne zawody- spełniali swój obywatelski obowiązek. Wyglądało to bardziej na piknik. Piękna, słoneczna pogoda, wysoka temperatura, panowie w spodniach i koszulach, zapewne pierwszy raz w takim „negliżu” poza domem. Kopanie przerywane było od czasu do czasu na papierosa i wesołą rozmowę. Każdy był przekonany, że nie oddamy nawet guzika, nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że Niemcy mogą dojść do Szczebrzeszyna.

Na szyby okien naklejało się paski papieru w kształcie litery X, aby zapobiec ich wypadaniu podczas podmuchów eksplodujących bomb. Mieliśmy żółte saszetki, z zaszytymi w nich granulkami węgla aktywowanego wielkości maku, które to saszetki w razie użycia gazu należało trzymać przy ustach i przez nie oddychać.

Pamiętam pierwsze samoloty niemieckie lecące wysoko i migające jak iskierki w słońcu wspaniałej, złotej, polskiej jesieni. A także bombardowanie Szczebrzeszyna, a szczególnie Brodów Małych. Niemcy usiłowali zbombardować stację kolejową. Skutek był taki, że spłonęła połowa tej wsi.

Niemcy szybko zajmowali terytorium Polski i władze polskie wezwały ludność do ewakuacji na wschód. Drogi wypełniły się uciekinierami. Do nas przyjechał jakiś kolega ojca, nauczyciel, który pochodził z Niska i teraz tam uciekał do rodziny. Ponieważ jechał rowerem i miał dużo bagażu zostawił u nas plecak. W tym plecaku było sporo czekolady. Powolutku jej ubywało- kiedy właściciel we wrześniu lub październiku zgłosił się po plecak, prawie nic z niej niepozostało.

Ojciec też postanowił ewakuować się na wschód. Miał to być wyjazd do rodziny mamy, do Sokala. Wyszukowano drabiniasty wóz zaprzężony w dwa konie. Na wóz załadowano pościel, ubrania, bieliznę i żywność. Ja z triumfem wyniosłem podarowany mi kilka lat wstecz, przez chrzestnego dr. Wacława Niechaja, sztucer i pojechaliśmy. Przypuszczam, że byliśmy jedynymi uciekinierami z okolic Szczebrzeszyna. Jechało się przez Brody Duże, gdzie niektórzy chłopcy wychodzili przed dom popatrzeć, co się dzieje. Dzisiaj myślę, że wywoływało to ogromne zdziwienie patrzących- mieli nas oni pewnie za pomyleńców. Omijając Zamość dotarliśmy do odległych o 30 km Łabuń. Tam zatrzymaliśmy się na noc, a może i dłużej, niedaleko dużych stawów.

Było tam już mnóstwo ludzi i furmanek, i tam prawdopodobnie podjęto decyzję o powrocie. Wróciliśmy przez Kosobudy do gajowego Lotza, do gajówki Krzywe. Zastaliśmy tam Waligórę właściciela fabryki kalafonii i terpentyny „ALWA” (skrót od Aleksander Waligóra) z Brodów Małych z żoną i synem, którzy zatrzymali się u drugiego gajowego Kawki. Waligórowie mieli z sobą samochód. Była to wielka atrakcja, więc dlatego utkwiała mi w pamięci. My z mamą zostaliśmy w gajówce, a ojciec sam pojechał furmanką na wschód.

Wojna szybko szła w kierunku Szczebrzeszyna. Koło gajówki zaczęli się pojawiać polscy żołnierze z rozbitych jednostek dwu armii: Lublin i Kraków. Rozbrajali się w ogromnych kompleksach lasów Roztocza. Zakopywali zakonserwowane karabiny, amunicję, skrzynki granatów. Miała mama ze mną

utrapienie. Całe dni spędzałem z żołnierzami urywając się na wiele godzin od jej nadzoru. Wiedziałem gdzie są zakopane karabiny, naboje i inne wyposażenie.

Po kilku dniach zjawili się nieoczekiwanie koło gajówki Niemcy. Często wiali dzieci cukierkami, których nie pozwalano nam jeść, bowiem, jak ostrzegali tuż przed wybuchem wojny polskie władze, Niemcy mieli zrzucić z samolotów zatrute cukierki, zatruci studnie itp.

Po kilku dniach postanowiliśmy wracać do domu. Wszędzie pełno było Niemców. W Szczepieszynie sklepy zamknięte, nic nie można było kupić. Najgorszy był brak zapalek i soli, które trzeba było dowieźć z fabryk i kopalni. A pociągi nie jeździły. To też w późniejszych latach każdy robił zapas tego dobra w domu. Mama pamiętając zapewne pierwszą wojnę światową i długie walki koło Sokala, wiedziała, że trzeba zrobić zapas tych produktów wcześniej. Tuż przed wybuchem wojny zakupiła spore ich ilości, np. niewielki worek soli. Utkwiło mi to w pamięci, gdyż obdarowywała nią sąsiadów.

Po pewnym czasie ojciec wrócił z ucieczki na wschód. Zaczęła się niemiecka okupacja. Z jej pierwszych dni pamiętam żołnierzy niemieckich we włożonych na mundury maskujące płachtach, które przemyślnie spięte tworzyły płaszcze przeciwdeszczowe, a po złączeniu kilku razem tworzyły namiot. Zapamiętałem przemarsz kolumny jeńców polskich. Przyszli oni od strony Zwierzyńca i nocowali na łąkach. Stosunek Niemców do jeńców był poprawny- pozwalano np. ludziom przynosić im żywność.

Innym zdarzeniem był widok pięciu polskich kawalerzystów w pełnym uzbrojeniu, którzy przyjechali prawie pod sam szpital, a dokładnie do wylotu ulicy Zamkowej przy ówczesnej przychodni zdrowia. Zsiadli z koni i przypatrywali się z odległości 80 metrów maszerującym od strony Zamościa do Zwierzyńca niemieckim kolumnom piechoty i samochodów. Stałem koło nich chyba kilkanaście minut- nigdy tak z bliska nie widziałem kawalerzystów.

Niemcy pierwszy raz wkroczyli do Szczepieszyna wieczorem 13.9.1939 r. W dwa tygodnie później, 27.9.1939 r., weszła na miejsce Niemców Armia Czerwona, bowiem granica pomiędzy Rosją a Niemcami miała być tam, gdzie była za carskiej Rosji, z grubsza biorąc na Wiśle. Od strony Zwierzyńca pokazał się samochód, na którym siedziało kilkudziesięciu czerwonoarmistów. Ubrani byli w sięgające prawie do ziemi szynele, u dołu nieobrubione skąd fruwały pojedyncze nitki. Pasy mieli nie skórzane a parciane, karabiny na takich niby sznurkach. Na głowie spiczaste czapki z dużą czerwoną gwiazdą po środku. Wyglądali biednie.

W niedługim czasie powstała w „Alwie” Rada Robotnicza, która przejęła fabrykę od jej właściciela Aleksandra Waligóry, a w Szczepieszynie powołano „Czerwoną Milicję” (z czerwonymi opaskami na rękawach) złożona z komunistów Polaków i Żydów. Ci ostatni byli bardzo zaangażowani w rozbrajanie pojawiających się ostatnich, pojedynczych polskich żołnierzy. Wywołało to zrozumiałą wściekłość ludności polskiej. Szczególnie zapamiętałem Warmana tego, który miał sklepik z lodami. Wraz z odejściem Armii Czerwonej uciekli razem z nią żydzi członkowie Czerwonej Milicji, w tej liczbie i Warman.

Podczas tego krótkiego pobytu Armii Czerwonej nocowały u nas dwa razy grupy polskich żołnierzy idących pod nadzorem sowieckim. Byli to mieszkańcy wschodnich terenów Polski wzięci do niewoli przez Niemców, teraz przekazani czerwonoarmistom- wracali rzekomo w rodzinne strony. Rzekomo,

bo byli wśród nich również oficerowie, zapewne przyszłe ofiary Katynia. Byli słabo pilnowani, ale mimo naszych zachęt uciekali tylko nieliczni, ponieważ wierzyli, że idą do domu. Jeden z nich schował na górnej belce ganku paradną szablę, którą potem wyjąłem i w ukryciu fechtowałem. Jakież było nasze zdziwienie, gdy po kilku tygodniach zjawił się właściciel szabli, ale już w niemieckim mundurze i zażądał jej oddania.

Po kilkunastu dniach Armia Czerwona opuściła Szczepieszyn i zgodnie z nowym porozumieniem Stalin- Hitler wycofała się na linię Bugu (w zamian Hitler oddał Stalinowi Litwę).

9 października znowu przyszli Niemcy. Zaraz zaczęło się szykanowanie żydów. Niemcy szarpali ich za brody, wymagali zdejmowania czapek i kłaniania się przed każdym Niemcem, pędzili do różnych robót, bili na ulicach do nieprzytomności, rabowali sklepy przy pomocy niektórych Polaków, zabierali z domów wszystko, co wartościowe, spalili synagogę i przede wszystkim zabijali.

Zapanował powszechny strach, że to, co robiono z żydami czeka teraz i nas. Nie omylono się.

Zacząły się aresztowania, wywożenie Polaków do Oświęcimia i innych obozów. Ze Szczepieszyna zginęło w nich kilkadziesiąt osób. Werbowano, szczególnie młodzież, do wyjazdu na roboty do Niemiec. Ze znajomych zgłosił się młodszy syn Wojtasiów Bronek. Niedługo zaczął przysyłać listy z wiadomościami, że powodzi mu się dobrze- śpi na pierzynie i pod pierzyną. Ponieważ na roboty zgłaszali się nieliczni zaczęły się łapanki. Ludzie a zwłaszcza młodzież zaczęła się ukrywać.

Zacząły nadchodzić pierwsze zawiadomienia o śmierci najbliższych z Oświęcimia, i innych obozów. Nie ma słów i nie ma poety, który mógłby wyrazić ból ich rodzin. Tylko najbliżsi znają cały jego bezmiar. Nie można o tym nigdy zapomnieć. Niektóre z tych tragedii zostały opisane i nie będą zapomniane. Inne jednak, bezimienne, przypadną, jak wiele w tragicznych dziejach naszej historii. Do tych upamiętnionych należy kilkadziesiąt nazwisk zamordowanych obywateli Szczepieszyna wymienionych na dużych tablicach w dwóch szczepieszynskich kościołach.

Jednocześnie organizował się ruch oporu. Już a październiku 1939 r. powstała pierwsza grupa konspiracyjna, do której należał także mój ojciec.

Przed wybuchem w 1941 r. wojny niemiecko-rosyjskiej w Klemensowie wybudowano lotnisko, przy czym rozebrano komin cukrowni. Drogami ciągnęły ogromne ilości wojska, artylerii i czołgów w kierunku granicy ze Związkiem Radzieckim na Bugu. W połowie Brodzkiej Góry wprost na polu, w okopach jeszcze z pierwszej wojny światowej, składowano duże ilości bomb lotniczych, których używano również do szkolenia pilotów. Pole opróżnionej gajówki Jarugi służyło im za poligon. Jedną bombę samolot zrzucił (zagubił?) na Brody Małych koło Bielców, niedaleko Szlakówki, zabijając Bielcównę, która zaledwie kilka tygodni wcześniej wyszła za mąż za Władysława, starszego z Wojtasiów.

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej pędzono (trudno o inne słowo) ogromne kolumny jeńców radzieckich. W strasznych warunkach bez wody i żywności, bijąc i strzelając. Do dziś mam w oczach jeńców wyciągających w błagalnym geście ręce o jedzenie i picie. Polakom nie wolno było zbliżyć się do tych kolumn, bo Niemcy strzelali bez pardonu. Próbowano rzucać im chleb, jabłka. Wybuchy o nie bijatyki wśród jeńców.

Nadeszły dwie straszne zimy 1941/42 i 1942/43. Śnieg na drogach utworzył zasy sięgające do 2 metrów, temperatura niekiedy spadła poniżej 30

stopni minus. Z Rosji jechały pociąg za pociągiem z niemieckimi żołnierzami, którzy mieli odmrożone ręce, nogi, twarze. "Generał mróz" razem z Rosjanami wygrywał wojnę tak samo, jak to już raz przytrafiło się w 1812 roku Napoleonowi. Utknęło w śniegu koło naszego domu kilka niemieckich samochodów, z których żołnierze mieszkali u nas przez kilka dni dopóki nie odśnieżono drogi. Jechali prosto z Francji na front wschodni i pili na umór.

W 1942 roku Niemcy przeprowadzili „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”. W październiku zostało wywiezionych do obozu zagłady w Bełżcu około 900 żydów. Pamiętam ich potulnie i w ciszy idących koło naszego domu na stację kolejową, eskortowanych przez nielicznych Niemców. Wszyscy Polacy, którzy to widzieli nie mogli się nadziwić, że dali się tak potulnie prowadzić. Nikt z nich podobno nie wiedział jeszcze, że jadą do komór gazowych. Niemcy ogłosili, że wywożą ich do obozu gdzie znajdą spokój, pracę i przyzwoite utrzymanie. Reszta szczębrzeskich żydów w liczbie około 2.000 zastała zamordowana w domach, w piwnicach i ulicach, na których przez kilka dni można było zobaczyć trupy i kałuże krwi. Najwięcej jednak zginęło na cmentarzu żydowskim, kirkucie. Pędzono ich tam bijąc całą drogę. Musieli kłaść się na skraju wykopanych uprzednio długich, głębokich dołów, a Niemcy zabijali ich strzałem w tył głowy. Spędzeni Polacy lub ochotnicy (było takich trochę) spychali trupy do dołów i przysypywali wapnem. Na to szła następna warstwa zabitych, często tylko śmiertelnie rannych.